Z Kandy wyjechaliśmy, wiedząc, że czeka nas naprawdę intensywny dzień – mieliśmy w planach zwiedzić Dambullę i zdobyć Sigiriję. Kumar ma jednak wiele pomysłów i tego dnia poprosił Atrre (naszego pilota), aby podwiózł nas najpierw do ogrodu przypraw. Zatrzymaliśmy się więc w miejscu, które wydało mi się znajome… kiedy ostatnio byliśmy (ja, mój ślubny i znajomi) na Sri Lance, to właśnie tu odbyło się małe przyjęcie z okazji urodzin Marka. Podano wtedy tort z napisem „Happy Birthday Marek", banany i herbatę.

Tym razem większego przyjęcia nie było, ale po spacerze po ogrodzie i objaśnieniach co w nim rośnie, zostaliśmy poczęstowani naparem z cynamonu i kardamonu, a nawet wymasowani. Młodzi najpierw z pewną taką nieśmiałością zgłaszali się do masażystów, ale bardzo szybko im się spodobała ta aktywność i spece od ajurvedy mieli co robić. Dodam, że na tym etapie wycieczki dopieszczane były tylko nasze glowy, twarze, karki i ramiona. Zabiegom upiększającym poddał się też Kumar. Piękniejszy już być nie może, ale po wklepaniu odpowiednio skomponowanych kremików odmłodniał o dekadę. A wieczorem… O tym potem.

Oczywiście w sklepie przy ogrodzie zakupiliśmy sporo produktów przygotowanych z wyhodowanych tam roślin i pomknęliśmy do Dambulli. Tam już nie „mknęliśmy", bo trzeba było wejść po wielu schodach, żeby zobaczyć pięć świątyń buddyjskich w jaskiniach i wysłuchać odczytu Kuby Sz., i to miejsce zachwyciło chyba każdego z grupy. Oczarowała nas atmosfera sacrum, którą tworzą malowidła naskalne i pięknie podświetlone posągi Buddy. I tak duchowo zbudowani zeszliśmy do autokaru, by pojechać pod Sigiriję. Ten wielki blok skalny budzi mój niepokój. Wysokie to (180 m.), z pionowymi niemal ścianami i ruinami starożytnego pałacu oraz twierdzy wzniesionymi za panowania króla Kassapy w V wieku. Pod Sigiriją, czyli Lwią Skałą najpierw lunęło, a potem zaczęło wiać. Nie dla mnie z lękiem wysokości takie numery… ale miałam co robić. Oczywiście młodzi z Kumarem na czele poszli na samą górę. Ja kiedyś tam byłam i wystarczy. Siadłam więc gdzieś w połowie drogi na szczyt i pisałam relację z wyprawy, potem zlazłam do autokaru, a tuż za mną grupa. Oczywiście i na stromych drabinkach wiodących na Lwią Skałę spotkaliśmy Polaków, co więcej – ucznia naszej szkoły, Piotra J., który także podróżował z rodzicami po rajskiej, herbacianej wyspie. Świat jest mały…

Kolejny przystanek był spodziewaną niespodzianką, czyli postojem w centrum ajurvedy, w którym chętni mieli się poddać masażowi całego ciała. Oczywiście wcześniej zapytaliśmy młodych czy byliby chętni. Początkowo zgłosiło się kilka osób, ale po akcji w ogrodzie z przyprawami grupa zainteresowanych była już większa, zaś kiedy zaczęliśmy płacić za zabiegi, to okazało się, że z tej przyjemności nie chce skorzystać jeden wyprawowicz. Ostatnia chyba zgłosiła się do mnie Baśka K. z pytaniem: pani profesor, a jeśli ktoś wcześniej się nie zdecydował, to może teraz? -No jasne! – odpowiedziałam i poczłapałyśmy za swoimi masażystkami do gabinetów.

Ja byłam w jednym z Grace, ale dość szybko o sobie zapomniałyśmy i o reszcie świata również, bo poddałyśmy się temu, co robiły panie specjalistki od ajurvedy. Było bosko. Masażystki ugniotły i wyklepały nasze zmęczone ciała od czubka głowy po stopy. Wychodziliśmy z gabinetów milcząc, naoliwieni niczym jakieś maszyny – „full nówki nieśmigane" z fabryki. Ożywiła nas kolacja i wizja kąpieli, bo naoliwione ciało to jedno, a

tłuste od tej oliwki włosy są „łobrzydliwe”. Jednak problemem w tutejszych hotelach jest to, że w kranach zwykle leci tylko zimna lub co najwyżej letnia woda, więc trzeba się było trochę pomęczyć, żeby zmyć z siebie specyfik do masażu. „I to ma być ta wyczerpująca wyprawa? Wożą nas, robią przystanki na jedzenie, masują…” powtarzali wyprawowicze. A następnego dnia zawieziono naszą radosną drużynę do Polonnaruwy. Tu „przejął stery” Szymon I., który jak licencjonowany przewodnik pokazał nam to zabytkowe miasto, jedną z niegdysiejszych stolic na Sri Lance. Widzieliśmy liczące setki lat pałace, łaźnie królewskie i inne obiekty związane ze sprawowaniem władzy przez króla, a także buddyjskie obiekty sakralne, w tym robiące kolosalne wrażenie stupy. Teren dawnego miasta był ogromny, wykłady Szymona rzetelnie przygotowane i obszerne, w związku z czym zwiedzanie Anuradhapury przełożyliśmy na następny dzień, ale po południu „zaliczyliśmy” jeszcze Mihintale, czyli szczyt górski, uważany za miejsce spotkania buddyjskiego mnicha Mahindy z królem Devanampiyatissą, które zainaugurowało obecność buddyzmu na Lance. I znowu były schody. Dużo schodów… jakby nie można było tych buddyjskich świątyń pobudować niżej. W dodatku stopnie do nich prowadzące są zazwyczaj różnej wysokości, wyślizgane i strome. Ile mnie nerwów kosztuje każde takie wejście! O zejściu nie wspomnę. A młodzi jak kozice górskie wbiegają po nich bez zadyszki. Tak było i tym razem. W Mihintale zobaczyliśmy małą świątynię na szczycie góry, małą stupę otoczona kamiennymi filarami (Ambasthala Dagoba), weszliśmy na punkt widokowy, który zwieńcza biały, wielki posąg Buddy, młodzi z Grace wleźli jeszcze na inne wzgórze, żeby zrobić zdjęcia postawionym tam dagobom, a ja obejrzałam początek pudży i podreptałam za Kumarem do punktu, w którym zostawiliśmy buty. Po dość intensywnym dniu noc spędziliśmy w hotelu Cinnamon Tree. Teoretycznie miał wifi i teoretycznie pokoje, które dostaliśmy były ok, ale… w porządku były tylko pokoje młodych, my „jeszcze młodsi” dostaliśmy małe i bez klimatyzacji, co szybko dało się nam we znaki. W naszym (moim i Grace), miałyśmy też współlokatora – całkiem wyrośniętego (długości kciuka), błyszczącego i wąsatego karalucha Zenka. Ochrzciłyśmy typa Zenonem, bo pierwsza obowiązująca na wyprawach zasada mówi, że hotelowevo karalucha trzeba nazwać. Zenek był bardzo grzecznym współspaczem, chyba po nas nie łaził, ale sprawdził skrupulatnie moje łóżko, a potem kosmetyczkę Grace. W poprzednim hotelu miałyśmy żabę Monikę w łazience, a i z pokoi uczniów raz po raz dobiegały wrzaski dowodzące obecności płazów i innych braci mniejszych. Wyprawowicze chwalili się później, że dzielili pokoje a to ze Stefanem, a to ze Stasiem…

Noc minęła na szczęście szybko i po śniadaniu wybraliśmy się w drogę do Jaffny, ale z przystankiem na zwiedzanie Anuradhapury, gdzie przewodnikiem był Piotrek Cz. Anuradhapura to historyczna stolica syngaleskiego państwa buddyjskiego, które rozwijało się między III wiekiem p.n.e. a XI wiek n.e. Ważną rolę w jego historii miała odegrać mniszka buddyjska Sanghamitta, przywożąc i ofiarując królowi Devanampiyatissowi gałąź ze świętego drzewa Bodhi, pod którym miał medytować i doznać oświecenia Budda. No i byliśmy w miejscu, gdzie rośnie szczep drzewa Bodhi, wysłuchaliśmy fragmentu pudży, pozbieraliśmy na pamiątkę opadłe liście, zobaczyliśmy filary pałacu, który stał w pobliżu Bodhi Tree i podjechaliśmy pod nową, czyli wybudowaną w ostatnich dekadach wielką białą stupę, pod którą ciągle trwały jeszcze prace rzeźbiarzy nad płaskorzeźbami, które miały zdobyć mur ją okalający. I tu chyba najbardziej zaintrygowali nas ci rytmicznie postukujący w kamień rzemieślnicy. Podeszliśmy do nich i początkowo tylko przyglądaliśmy się procesowi tworzenia, ale sami twórcy pozwolili nam chwycić za narzędzia i kierując się ich

wskazówkami, pokuć w twardym materiale. Kumar skomentował to w swoim stylu: „Może ktoś za dwa tysiące lat przyjdzie tu, a jakiś przewodnik mu powie, że byli tu uczniowie ze Słowaka i współtworzyli te płaskorzeźby". Po tych artystycznych doświadczeniach znowu zajęliśmy swoje miejsca w autokarze, który zawiózł nas do Jaffy.

Im dalej jechaliśmy na północ, tym krajobraz stawał się coraz bardziej „indyjski". To z lewej, to z prawej wyłaniały się drawidyjskie świątynie poświęcone bóstwom hinduskim. Było też jakoś inaczej, biedniej, ale trudno się dziwić skoro długo cala północ była zamknięta dla turystów. Na pewno do 2013 roku, może dłużej. Jednak nasz hotel okazał się bardzo nowoczesnym i czyściutkim jakby dopiero co otwartym. Menedżer „Humming Birds Suites" był przesympatyczny i otwarty, pokoje przestronne, dobrze wyposażone. W dniu przyjazdu późnym popołudniem i wieczorem po prostu odpoczywaliśmy, robiliśmy pranie, przyglądaliśmy się z balkonów ulicom nieznanego także opiekunom miasta. Burunduki, niby wiewiórki typu Chip i Dale, goniły się po dachach okolicznych domów, wszędzie było bardzo zielono, młodzi do ciszy nocnej hazardowali się grając w karty i jakieś planszówki. Nic nie zapowiadało jak dramatyczna będzie to dla mnie noc. Dodam, że my opiekunowie dostaliśmy apartament połączony drzwiami przez które mogliśmy się odwiedzać nie wychodząc na korytarz. Zasnęłyśmy z Grace około północy. Nie wiem która była dokładnie, kiedy nagle obudził mnie przeciągły ryk lwa, potem następny i kolejny. Siadłam na łóżku wystraszona i nie wiedziałam czy uciekać czy co… Serce mi niemal stanęło. Grace spała słodko, więc uznałam, że może ja mam omamy słuchowe. Tymczasem rano do naszego pokoju zapukał Kumar.

– Dziewczyny, nie uwierzycie co mi się śniło – powiedział.

Okazało się, że w sennych majakach zobaczył napastnika, który chciał go zabić. I nasz dzielny Dyrektor uznał, że odstraszy typa udając lwa. Podobno tak zaryczał, że aż sam się obudził i przy okazji mnie. No cóż…

Po śniadaniu wyszliśmy zwiedzać Jaffnę z Anią L. w charakterze przewodnika. Byliśmy w świątyni hinduistycznej Nallur Kandaswamy, dedykowanej Muruganowi, synowi Shivy i Parvati. Mężczyźni, aby wejść do świątyni musieli zdjąć koszule (wow!), natomiast przed świątynią było miejsce, w którym stawali wyznawcy i o kawał metalowej płyty rozwalali kokosy, będące symbolem ludzkiej duszy. Rozwalenie orzecha jest znakiem oddania się bogu, obnażenia ducha przed bóstwem. W Jaffnie zobaczyliśmy też fort wybudowany przed przez Portugalczyków, przejęty później przez Holendrów i w dużej części zniszczony wskutek wojny Syngalezów z Tamilami. Odwiedziliśmy też bibliotekę (rangi naszej Biblioteki Śląskiej), w której największe wrażenie zrobiła czytelnia czasopism. Byliśmy także na poczcie, bo chcieliśmy wysyłać pocztówki z pozdrowieniami dla bliskich nam osób. A potem szwendaliśmy po mieście w podgrupach i chyba każdy spenetrował co chciał – jedni plażę, inni sklepy z pamiątkami, a jeszcze inni na przykład targ rybny, na którym może niezbyt ładnie pachniało, ale niezwykłe morskie stwory można było z bliska pooglądać. Późnym popołudniem przepakowywaliśmy się na lot Jaffna – Chennai, odpoczywaliśmy w pozycjach horyzontalnych, a część młodych znowu sięgnęła po planszówki. I znowu bomba – tuż przed ciszą nocną postawił nas na równe nogi brzdęk tłuczonego szkła. Okazało się, że to zdobiąca hall ryba spadła ze stoliczka, nieopodal którego nasi milusińscy grali w „dżunglę". Winni

przyznali się sami, uderzyli w piersi i zadeklarowali, że pokryją koszty straty, ale po rozmowie z menedżerem rozwiązaliśmy sprawę inaczej. Po południu młodzi wzięli udział w quizie na temat Sri Lanki. Wyprawowicze, którzy mieli wykłady na wyspie przygotowali pytania i sprawdzali jak uważnie słuchali ich koleżanki i koledzy. Sądząc z lasu rąk zgłaszających się do odpowiedzi naprawdę dużo zapamiętali. A po spotkaniu grupy była kolacja i ostatnia spokojna tym razem noc przed wylotem do Indii.